

## ROZDZIAŁ XV

### CZAS OD 30 MAJA DO 4 CZERWCA

Odpocząwszy około dwóch godzin w Goryniu, i pożywiwszy się choć chlebem i wódką, wyszliśmy 30 maja z tej wsi na południowywschód; a przeSzedłszy rzekę Radomkę, weszliśmy w lasy Bobrownickie, i w nich zniknęliśmy. Maszerując niemi wciąż, w kierunku południowo wschodnim, około godziny 11 rano, we właściwej już puszczy Kozienieckiej, której poprzednio wymienione lasy stanowią jej składowe części, niedaleko wsi Zagożdżany, spotkaliśmy stojącego konno na leśnej drożynie i trzymającego za cugle dwa inne osiodłane konie, bez jeźdźców, byłego junkra od dragonów Assiejewa, Czerkiesa rodem, przed dwoma miesiącami zbiegłego z Radomia do oddziału Kononowicza, z którym spotykaliśmy się kilkakrotnie, i dla tego też zaraz go poznaliśmy.

Trudno było przeczuć, że wtenczas już był postanowił zbiedz od Kononowicza, i powrócić do Moskali, przez których widać był upoważnionym do poprzedniego zbiegostwa, i wstąpienia niby jako ochotnik patrijota, do któregośkolwiek z oddziałów polskich, aby rozpoznać; naszą organizację, siły, miejsca przebywania, stosunki i sposób prowadzenia przez nas partyzantki; gdyż ten zbieg następnie gdy wrócił do Moskali, do Radomia, to został zaraz awansowany na oficera, i powierzano mu częściowe wyprawy dragonów przeciw powstańczej kawalerji, zwłaszcza że posunięto go wkrótce aż do stopnia rotmistrza.

Dopiero w zimie 1863/4 r. dostali go znów w swe ręce powstańcy, w fabryce żelaznej pod Starachowicami i Brodami, zniszczywszy zupełnie jego szwadron, i dostawili go do Bosaka żywcem, do Kunowa. Lecz Bosak, zamiast powiesić łotra, wzięwszy od niego słowo honoru, że nie będzie szkodził powstańcom, udarował go życiem i wolnością<sup>100</sup>. Dzikus ten jednak złamał słowo, i szkodził dalej nam okropnie.

Otóż spotkawszy go wówczas, zapytał Czachowski, co tu robił? Assiejew zmieszany, odpowiedział, że czekał tu z rozkazu Kononowicza. Gdzie był wówczas oddział Kononowicza, badał go dalej nasz dowódca. Assiejew wzbraniał się atoli dać na to wyjaśnienia, tłumacząc się, że mu to zakazano. A gdy mimo objaśnienia, że podkomendny, na żądanie naczelnika wojennego województwa, obowiązany jest wskazać miejsce przebywania innych jego podkomendnych, Assiejew ciągle nie chciał wskazać miejsca przebywania Kononowicza; to Czachowski zagroził mu w razie dalszego oporu natychmiastowem rozstrzelaniem. Na takie dictum, dopiero Assiejew, wyjaśnił, że Kononowicz z oddziałem ztąd niedaleko, w puszczy Kozienieckiej obozuje.

Czachowski wystosował wezwanie do Kononowicza, objaśniając, że gdy generał major Zakamelskij, z piechotą gwardji i strzelcami, maszeruje za nami, to poleca mu, aby natychmiast przybył pod Zagożdżany do nas, dla połączenia się i stawienia skutecznego oporu siłom moskiewskim. Razem wyprawił kawalerzystę i oficera z tym rozkazem i Assiejewa, z tem, że gdyby chciał im zemknąć lub okazać się nieposłusznym, to mają go natychmiast zgładzić, i powrócić dopiero skończywszy missję.

---

<sup>100</sup> Nie wspomina o tym incydencie Eligiusz Kozłowski, *Generał Józef Hauke-Bosak 1834-1871*, MON, Warszawa 1973.

Po odjechaniu powyższych wysłańców, pomaszerowaliśmy w poprzednim kierunku dalej, i około godziny 11 rano, stanęliśmy w starym a rzadkim dębowym lesie, na skraju, od północnej strony wsi, obstawiwszy się wedetami, czatami i podjazdami.

Był upał. Znużeni wczorajszą bitwą i całonocnym marszem, do tego nadzwyczaj głodni i spragnieni, mimo to gdyśmy ustawiliśmy się szeregami w miejscu spoczęli - sen nas tak zmorzył, że mimo palącego słońca, kamieniem usnęliśmy. Dopiero około 1, popołudniu, zbudziła nas ze snu, grzmiąca komenda Czachowskiego w gniewie:

- Wstawać, w tej chwili pod broń!

A następnie gdyśmy stanęli.

- Oddział formuj się! Kawalerja rozdziel się, i stań na skrzydłach! Kosynjerzy i furgony w środek frontu!

A gdyśmy powyższe komendy wykonali. Wydawszy jeszcze komendę:

- Piechota i strzelcy w tyraljery! W jedną linię, w prawo i w lewo o pięć kroków odstepu: rozsyp się! - następnie zagrzmał do nas: - pójdziemy naprzód obławą, i otoczmy tych malkontentów; a gdyby potrzeba była, to i bagnetem ich zmusimy, aby albo się bili z wrogiem, albo z województwa ustąpili, i tegoż darmo nie objadali.

Przyzwawszy teraz do boku swego wysłanych poprzednio z Assiejewem kawalerzystów, którzy przed chwilą powrócili, rzekł do nich:

- Prowadźcie teraz do obozu tego łotra! - a do rozwiniętej, naszej długiej linii dodał: -oddział frontem naprzód za mną - marsz!

Przyczyną gniewu i wydanych powyższych dyspozycyj, była odpowiedź Kononowicza.

A była ona taka: że jeżeli oddział Czachowskiego czuje się osłabionym i znużonym, odbytemi bitwami i marszami, oraz zgrożonym przewagą sił postępujących za nim Moskali; to niech stanie w puszczy tej obozem, a on, mając obecnie oddział z tysiąca przeszło ludzi, weźmie go pod swoją opiekę, i obstawi tak swemi wedetami i czatami, że pod osłoną ich, będzie magł dłuższy czas wypocząć i się zreorganizować. O połączeniu się bowiem, do wspólnego działania przeciw wrogowi, mowy być więcej nie może; a on o tem nawet ani myśli. Ironja, obelga i nieposłuszeństwo okazane Czachowskiemu, jako naczelnikowi województwa, na którego terytorjum Kononowicz wciąż się ukrywał, siłami tegoż organizował się i żywił swój oddział spowodowały powyższe słuszne uniesienie naszego wodza.

Maszerowaliśmy więc w rozwiniętej linii borami, przeszło półtóry mili. Lecz Kononowicza w ostatnim jego obozowisku, już nie zastaliśmy. Wyszedszy pod nadleśnictwo Augustow, i powziąwszy tam wiadomości, że Kononowicz pomaszerował ku Kozienicom, zwinęliśmy się w kolumnę pochodową, i za nim podążyliśmy. Gdyśmy znów wyszli z puszczy na pola, już należące do wymienionego miasta, a z trzech stron w półkole lasem otoczone, ujrzelśmy na przeciwnym skraju lasów, na wzgórku, konną czatę Kononowicza, która na widok wysuwającej się naszej szpicy kawaleryjskiej, dawszy do niej jakby do wroga ognia, cwałem wpadła do przeciwległych borów, na północ od pół rzeczonych, ku rzekom Pilicy, i na wschód ku Wiśle się rozciągającym.

Szarawo się już robiło, albowiem było to już po godzinie 8, wieczór. Zszedłszy przeto z drogi do Kozienic, po pod lasami w prawo, zawróciliśmy na wchód, i podążyliśmy do tak zwanej hamerni, o pół mili od miasta. Ciemnym wieczorem, tu na stoku wzgórzka dość wysokiego, okrytego jałowcami, a na wierzchu zasianego wyrosłym już kawałkiem żyta, a dalej szpilkowym lasem, znużeni i głodni, obstawieni silnie

wedetami i czatami, przenocowaliśmy.

Ztąd jeszcze raz Czachowski wyprawił kawalerzystów z kategorycznym wezwaniem do Kononowicza: albo stawiania się z oddziałem, i stoczenia wspólnej bitwy z wrogiem, albo natychmiastowego opuszczenia województwa Sandomierskiego.

Całą noc tłukli się wyprawieni po lasach kawalerzyści, lecz nigdzie najmniejszego śladu bytności Kononowicza nie znalazłszy, nad ranem zniczem do nas powrócili.

I zaiste, dziwny to był ten naczelnik wojenny powiatu czerskiego, Kononowicz. Siedział ciągle w puszczy Kozienieckiej, rzekami Pilicą i Wisłą z dwóch stron zasłoniętej, a na terytorjum województwa Sandomierskiego się znajdującej. Z jego mieszkańców organizował swój oddział, jego żywnością tenże karmił. Z magazynów rządowych w Magnuszewie i Ryczywole, w powiecie Radomskim się znajdujących, sól sprzedawał. Czasem wysunął się i po za Pilicę, ale w powyższym jedynie celu, t. j. po sól w tamtych magazynach. A gdy Moskale, dowiedziawszy się o jego tam pojawieniu się, występowali przeciw niemu, to umykał znów czem prędzej z tamtych stron, przeprawiając się z powrotem, za wymienioną rzekę, i tu w spokojn, zniknąwszy w puszczy, wiecznie się tylko organizował. Zawezwany zaś do działania spólnego, przeciw Moskałom, tłumaczył się zawsze, że nie może tego uczynić, bo należy do województwa Mazowieckiego. Aż też Nemezys w kilka dni potem w straszny sposób się pomściła, o czem dalej będzie.

Noc była nadzwyczaj zimna. Ziemia, jałowiec i drzewa, szronem i okiścią się okryły. Skostnieliśmy bo nawet ani cygara lub fajki nie wolno było zapalić. W Kozienicach bowiem jako też w niedaleko ztąd leżącej twierdzy Dęblinie i w miastach: Zwoleniu, Radomiu, Białobrzegach i Warce, wszędzie stały silne załogi moskiewskie, zaledwie o jeden zwykły marsz kilkumilowy oddalone; my tymczasem w środkowym punkcie obozowaliśmy.

Dla tego też, dnia 31 maja, jeszcze przed wschodem słońca poszliśmy w dalszy marsz, na południe, ku Zwoleniowi. Uszedłszy w tym kierunku z półtorej mili, zesliśmy z traktu, na wschód, bezdrożami w lasy Myślenickie; w głębi tych, znów zwróciwszy się jeszcze raz na południe, i przeszedłszy dość wysokie wzgórze lasem sosnowym okryte, w kotlinie po za niem, około godziny g rano, stanęliśmy obozem.

W tem miejscu spoczywaliśmy dwie godziny, podczas których pozywiono nas: świeżym chlebem, wędlinami, słoniną i wódką.

Poszliśmy dalej o 11, rano, idąc na wschód lasami, i około południa wvzśliśmy w pola, mając po lewej ręce klasztor dawny X. X. Benedyktynów w Sieciechowie. W dalszym marszu, doszliśmy do starej łachy rzeki Wisły; postępując drogą po nad takową, po prawej stronie widniały schludne domki w jedną linię zbudowane, jakiejś osady czy wsi; po lewej zaś naszej stronie, po za łąkami, rozlewała swe wody Wisła i łączący się z nią Wieprz a w ich widłach wznosiły się wały i mury twierdzy, Iwangroda (Dęblina).

Rozpuściwszy sztandar nasz na wiatr, i sformowawszy się, tak że jeden za drugim pojedynczo o parę kroków był oddalony, wolno maszerowaliśmy, udając dwójki lub czwórki, dla mogących nas obserwować z twierdzy; przedefilowaliśmy przed nią na dostępnym dla gołego oka widoku.

Gdy teren już zakrył nas, sformowawszy się znowu w zwykły szyk pochodowy, pomaszerowaliśmy na południe, a około 5 po południu, przechodziliśmy na widoku klasztoru X. X. Dominikanów, w Wysokiem Kole. Zwróciwszy tu czoło kolumny ku południo zachodowi, przed zmierzchem, weszliśmy z rozwiniętym sztandarem i śpiewami

do Czarnolasu, dawnej siedziby sławnego z Zyguntowskich czasów poety Jana Kochanowskiego.

Ja z paroma towarzyszami, ulokowałem się na noc w ulubionej naszego wieszczka altanie, gdzie niektóre jeszcze po nim pozostałe pamiątki, jak najdroższe relikwie do owych czasów przechowywane były; z największą czcią takowe oglądaliśmy.

Podniesiony dużo na duchu, 10 czerwca, nasz cały oddział, do dnia, rażno ze śpiewem pożegnał Czarnolas, i przeszedłszy trakt bity z Radomia do Lublina, dążył prosto na południe okolicami bezleśnemi, a na noc zajął miasteczko Lipsk.

Dnia 2 czerwca, odpoczywaliśmy w rzeczonym mieście. Tu zjawił się podleczoney z rany, którą otrzymał pod Boryą, major Kiciński, i jakaś awantura zaszła w kwaterze Czachowskiego; gdyż w dniu tym, major rzeczony jak i Markowski, wyjechali z powyższego miasta, i więcej już nie wrócili do naszego oddziału.

Markowskiego podkomendni często jeszcze wspominali i żalowali; był to bowiem energiczny i dzielny żołnierz i patriota, co udowodnił bohaterską śmiercią: wzięty bowiem do niewoli w lasach Łżeckich, w zimie 1863/4, wieziony pod silną strażą i do tego okuty do łązy, - gdzie Moskale postanowili go powiesić, zaczął niby z wysileniem skrobać się wciąż w kark. Tymczasem wyjętą długą stalową, od krawata, z czarną główką szpilkę, w kręgi wkręcił, aż po samą główkę, do szpiku pacierzowego; i gdy Moskale nie pojmując, co się z nim dzieje, przywieźli go do rzeczonego miasteczka, zdjęli z powózki, - to znaleźli już tylko trupa, którego niepodobna już było wieszać.

Dnia 3 czerwca, przededniem, opuściliśmy Lipsk i różnemi marszami i kontrmarszami, zwykłemi każdodziennemu marszowi Czachowskiego - zwłaszcza, gdy nieprzyjaciel postępował za nami dosyć blisko - przez Daniszewice, doszliśmy do Słupi Nadbrzeżnej. Tu uroczyście, w kościele, doręczono Czachowskiemu nominację Rządu Narodowego na generała i znak do tego stopnia: szarfę przez piersi noszoną.

Ztąd wyprawiono kawalerją do odkopania broni po bitwie Rzeczniońskiej, w cofaniu się oddziału Czachowskiego, w niedalekich ztąd lasach zakopanej. Ku wieczorowi wymaszerowaliśmy z powyższej wsi na zachód, a zabrawszy między siebie odkopaną i na furgonach ułożoną broń, podążyliśmy w poprzednim kierunku dalej. Ciemną już nocą stanęliśmy po kwaterach w miasteczku Gliniany.

Dnia 4 czerwca, przededniem, wyszliśmy z Glinian, i różnemi znów partyzanckimi marszami doszliśmy do miasta Sienna, na samo nabożeństwo Bożego Ciała. Udaliśmy się wprost do kościoła, gdzie uroczystej tej ceremonii towarzyszyliśmy, podobnie jak w Tarłowie, w dniu 3 maja.

Po nabożeństwie spożyliśmy, w kotłach ugotowany dobrze, prawdziwie żołnierski obiad. Tu, Czachowski, znowuż musiał wykonać smutną egzekucję. Pewien syn mieszczański, w kłótni, uderzył swego starego ojca w twarz, i do tego zadenuncjował go Moskałom jako sprzyjającego powstańcom.

Sąd wojenny skazał go za czyny powyższe na karę śmierci przez powieszenie, ale w zamian tego, wyliczono mu 150 kozackich nahajek. Wątpię, aby przy pomocy samego cara, nie tylko Moskali, z takowych się wylizał, bo prawie trupa zostawiono na placu.

Po tej egzekucji, udaliśmy się do szpitala, odwiedzić naszych towarzyszy broni, rannych w bitwach: pod Boryą, Bałtowem i Rzeczniozem, a pod kontrolą rządu najezdniczego leczonych. Ale jakoś tak szczęśliwie udawało się, że zanim który z nich zupełnie się wyleczył, i Moskale mogli go schwytać, to już gdzieś jak kamfora zniknął, i niepodobna było im go już odszukać

Ze szpitala zaproszono nas, kilkunastu, do domu prywatnego, gdzie młody oficer W., z kompanji przezemnie dowodzonej, miał również zaledwie dorastającą narzeczoną.

Tu zastaliśmy sute a szczere przyjęcie; zgromadzone już liczne grono młodych, prawdziwie pięknych panien, i dość dobrą muzykę. Gdy do tego uczestowano nas dobrem winem, rozpoczęły i ciągnęły się tańce, tak bez żadnego prawie przestanku jak gdybyśmy wiecznie za piecem siedzieli. Każdy patrząc na nas żwawo a z fantazją tańczących, w mazurze hołubce za hołubcami zamaszycie wycinających, - nie byłby nigdy uwierzył, gdybyśmy mu byli wyrachowali, ile te nogi mil drogi podczas powstania przemierzyły!

W tem, około godziny 5 po południu, otworzyły się naraz drzwi do sali, i w nich pojawiła się postać naszego generała, który wydał lakoniczną komendę, zwykłym silnym głosem:

- Oddział w pięć minut ma stanąć pod broń. Nieprzyjaciel nas okrąża, i jest już o pół mili!

Usłyszawszy wstęp powyższej komendy, każdy odprowadził swoją damę do krzesła, a uściskawszy rączkę i spojrzawszy w zasmucone, tak nagłem, a nieprzewidzianem rozstaniem oczęta-schwycił za stojącą w kątach broń, i pożegnawszy gościnnych gospodarzy, wypadał do szeregów, tuż naprzeciw domu formujących się żwawo. Nie minęło nawet 5 minut, gdy oddział cały żegnany z daleka jeszcze powiewającymi chusteczkami, wymaszerowawszy na zachód, wkrótce potem skręcił półobrotem w lewo, i zniknął w niedalekiej, Iłżeckiej puszczy.

W marszu dopiero dowiedziałem się od generała: że Kononowicz, Sawicki<sup>101</sup> i Nałęcz<sup>102</sup>, majorowie z oddziału pierwszego, zostali, w dniu 3 czerwca, w barbarzyński sposób rozstrzelani przez Moskali w mieście Warce.

W miarę jak który z nich miał u Moskali opinią osobistej waleczności, oraz okazał w zeznaniach w obec sądu wojennego hartu duszy - o tyle w mniej okrutny sposób wykonali rozstrzelanie.

Pierwszy t. j. Konowicz, dostał 12 kul trochę poniżej serca; drugi, już znacznie nizej. A trzeci, w sam brzuch, by jak najwięcej cierpień przysporzyć przy zgonie. Żyjących jeszcze odcięto od pali nad dołami, i w nich żywcem zasypano ziemią. Jęki słyhać było, gdy mogiły tratowano działami. Tak utrzymywały osoby, które były obecne tej krutnej a barbarzyńskiej egzekucji.

Tak Nemezys okrutnie się pomściła nad niekarnymi oficerami, co słuchać nie chcieli tak doświadczonego i starszego naczelnika jak Czachowski!

W chwili bowiem, gdy Kononowicz ze swym oddziałem cofał się przed nami, następnie znikł w puszczy na północ od Kozienic - jenerał Zakamelskij<sup>103</sup> - szukając śladu naszego natrafił na niego, kryjącego się na kępie, w lasach Rożniszewskich. Kępa ta była nadzwyczajnymi trzęsawiskami wokoło otoczona, dość obszerna. i suchy grunt, lasem porosły, posiadająca jedyny możliwy do niej przystęp stali owiła wężykowata ścieżka, wodą pokryta, a nie wielu tylko mipszkańcom tamtych okolic znana, dlatego w razie niebezpieczeństwa Kononowicz się wiecznie na niej chronił, i tam się organizował.

---

<sup>101</sup> Nic nie wspomina o majorze Sawickim, który miał być stracony razem z Kononowiczem w Warce, Witold Dąbkowski, *Powstanie styczniowe w puszczy kozienickiej*, Warszawa 1974. Jednakże na mogile zbiorowej w Warce widnieje nazwisko Sawickiego.

<sup>102</sup> To pseudonim Edmunda Sadowskiego, straconego razem z Kononowiczem w Warce.

<sup>103</sup> Prawidłowo. Meller-Zakomelskij Nikołaj.

Zakamelskij, sposobem moskiewskich dowódców, nie znających żadnych przeszkód i nie widzących żadnej potrzeby oszczędzać życia swych żołnierzy, otoczywszy trzęsawiska, - wprost przez takowe nakazał atak na kępę. Moskale padło w tym ataku dużo, gdyż grzęznących po otwartym miejscu, powstańcy łatwo z po za drzew razili. Co widząc, moskiewski dowódca, nakazał niby odwrót. Cofnąwszy się więc, otoczył wieńcem posterunków moczary i kępę, i wysłał do Radomia po posiłki. Zawiadomiony o tem przez okolicznych mieszkańców, Kononowicz, postanowił oddział można było usnąć. Tu się dopiero o tem przekonałem, gdym twardo zasnął. W dzieli był upał, a w wieczór parno; noc zaś, zwłaszcza nad rankiem, stawała się chłodną i zimną. Zbudziłem się znużony, ale zawsze snem trochę pokrzepiony. Herbata, z jaką do dnia pocziwie okoliczne mieszkanki pospieszyły, orzeźwiła mnie do reszty. swój na jakiś czas rozpuścić na urlopy i broń zakopać, co też i wykonał. Broń zakopano w czterech dołach, żołnierzy zaś rozpuszczono.

Z tych zaledwie 200 ludzi zebrał później major Ludwik Michalski, i to prawie samych kosynjerów, z miejscowej ludności formowanych, którzy jako znający dobrze puszcę, zdołali wymknąć się z rąk moskiewskich. Resztę oddziału Moskale w części wystrzelali i wymordowali, a większą połowę zabrali do niewoli, między tymi X. Agrypina Konarskiego, kapelana oddziału, z zakonu XX. Kapucynów, którego później powiesili na stoku cytadeli, w Warszawie.

Kononowicz, Sawicki, Nałęcz, adjutant Komorowski<sup>104</sup> i niektórzy z oficerów zdołali się przemknąć za linię posterunków nieprzyjacielskich ; lecz zaraz, w pierwszej wsi, uznali za stosowne odpoczywać. Tu niespodziewanie zjawili się kozacy. Komorowski ujrawszy ich wpadł do jakiegoś obejścia włościańskiego, a zakopawszy swój pugilares z ważnemi papierami w trzaskach, ukrył się w takowem. Kozacy, którzy go również zoczyli, odszukali go zaraz; a gdy ten padł przed nimi na kolana, krzyząc: pardon ! rozwściekliło ich to do tego stopnia, że go natychmiast rozsiekali; - pugilares w trzaskach znaleźli, a w nim papiery, kompromitujące organizacją tych stron, i natrafili na ślad Kononowicza, Sawickiego i Nałęcz. Wysłano do dworu kozaków, i ci schwytali ich tam przy herbacie. Odwiezionych następnie do Warki, tamże i rozstrzelano.

Wracam do wymarszu naszego z Sienna.

Gdyśmy dosięgli, nie zaczepiani od Moskale puszczy Iłzkiej, chociaż tu najwięcej głodu doznawaliśmy, mimo to uczuliśmy jakbyśmy się dostali do własnego domu. Zrozumieliśmy od razu krytyczne nasze położenie, po zniszczeniu Kononowicza. Zostaliśmy teraz jedynym oddziałem pieszym na przestrzeń przeszło 600 mil, a do tego zbyt zniechędzonym i ściganym przez nieprzyjaciela ośmdziesiątkoć liczniejszego. Oprócz bowiem wysłanego przez Czachowskiego oddziału kawaleryjskiego Bończy, działającego w Województwie krakowskiem, i kilkunastu konnych żandarmów powiatu Opoczyńskiego, my tylko jedni jeszcze na przestrzeni województw : Sandomierskiego, Krakowskiego, Sieradzkiego i Kaliskiego w owym czasie już walczyliśmy, - i to w drobnej ilości, zaledwie 400 ludzi wszelkiej broni.

Moskwa, zgromadziwszy zaś swe siły w tych dwóch województwach i na pograniczu Kaliskiego oraz Mazowieckiego, liczące w owym czasie: 8 pułków piechoty, 4 dragonów, 4 kozaków i 60 dział przeszło - osadziła je na stałe załogi, pewnych miast i miasteczek; potwórzyła szachownice, tak że wysełając za nami kozaków i dragonów,

---

<sup>104</sup> Mylnie. Chodzi o Władysława Komornickiego (1842 – 1863), syna właściciela ziemskiego z Grabowa. Literacki opis śmierci Władysława dała Zofia Kossak w trylogii *Dziedzictwo* (wyd. krajowe 1961).

tropić nas i napędzać w takowe mogła wszędzie, gdzie tylko nas dostrzezono ; wyruszała w cztery kolumny, każdą trzy do czterech razy od nas silniejszą, i szła niemi za wsze koncentrycznie na nas, bo to było łatwo. My zaś, tylko manewrami i umiejętnem wyzyskaniem osłon terenu musieliśmy pomiędzy temiz się wymykać, a w ostateczności skrzydłową bitwą przyjmować z jedną kolumną; starłszy się zaś z nią, maszerować znów dalej, co tchu starczyło. Mimo, że czuliśmy wszyscy, gdyż przed podkomendnymi nie kryliśmy wcale fatalnego naszege położenia, iż istnienie naszego oddziału już tylko na dni rachować można, - nie upadaliśmy atoli wcale na duchu; ani jeden z pod chorągwi nie zbiegł, aż dopiero wyczerpanie zupełne przez nas amunicji, położyło koniec jego istnieniu a co udowodnią fakta opisane później.

Jak forsownie maszerowaliśmy, aby wyjść z osaczenia, niech służy za dowód: że na godzinę 12 w nocy, bez żadnego odpoczynku, przeszliśmy puszcę na jej południowo zachodni koniec, pod hutę Starachowicko - Brodzką, to jest mil 5, i tu dopiero przeszedłszy rzekę Kamienną, na trakcie bitym z Wąchocka do Ostrowa, obstawiwszy się wedetami, czatami i pojazdami, biwakiem do snu się ułożyliśmy, bez ognisk.

Nie uwierzyłbym był nigdy wprzód, aby na gołych kamieniach, w pyle wapiennym można było usnąć. Tu się dopiero o tem przekonałem, gdym twardo zasnął. W dzień był upał, a w wieczór parno; noc zaś, zwłaszcza nad rankiem, stawała się chłodną i zimną. Zbudziłem się znudzony, ale snem trochę pokrzepiony. Herbata, z jaką do dnia pocziwe okoliczne mieszkanki pospieszyły, orzeźwiła mnie do reszty.

## ROZDZIAŁ XVI

### CZAS OD 5-7 CZERWCA, 1863 R.

Pozostawiwszy w okolicy do reperacji uszkodzoną broń, a zabrawszy zreperowaną, 5 czerwca, o g. 3 r., pomaszerowaliśmy z powrotem na Lubień w lasy Iłżeckie. O godzinie zaś 10 r., przeszliśmy już znów takowe, tylko mniej w kierunku północno wschodnim, i stanęliśmy na północnym skraju puszczy, nie daleko miasteczka Iłży, prawie tuż pod samą wsią. Koszary Iłżeckie.

Tu oczekiwała już na nas kawalerja z 36 koni, świeżo z Galicji przybyła; przeważnie z koroniarzy, dawnych Langiewicza podkomendnych, sformowana a przez majora Figettego dowodzona. Porucznikiem w niej był Karol Czachowski, syn naszego generała; podporucznikami: H. K. dawny kancelista rządu gubernjalnego Radomskiego, oraz M. z legji Algierskiej. Kawalerja ta, o ile była nieliczną, o tyleż dobrze uzbrojoną, i na pięknych roślących koniach siedziała; lecz na pierwszy rzut oka można było twierdzić, że te w partyzantce jaką my prowadzić byliśmy zmuszeni, wkrótce zmarnieją.

Każdy z kawalerzystów posiadał karabinek belgijski, na 600 kroków celnie bijący i lancę, z amarantową z białem chorągiewką, pałasz i parę pistoletów; oficerowie i szarże, w miejsce tych, mieli rewolwery. Umundorowaną zaś była z prawdziwym przepychem: w amarantowe jedwabne koszulki, spinane pasem z klamrą emaljowaną na przodzie; granatowe na to kartki, takiei pantalony, w palonych eleganckich z ostrogami butach, i ułanki wysokie, amarantowe z daszkami; a na tych pełno szychów, kordonków i na nich różnych sznurów i świecideł. Posiadała w dodatku jeszcze i burki.

Siodła i czapraki równie eleganckie i kosztowne. Wymusztrowaną lepiej i liczniejszą była od pozostałej reszty, z naszej dawnej; mimo to przykre nas, gdy patrzyliśmy na nią, przecucie trapiło, że mimo jej powyższej zalety, nie dorówna ona nawet poprzedniej, i że nie wiele na nią rachować możemy, - tak się nam zniewieściała od razu wydała, a co na nasze szczęście rzeczywiście się później nie okazało.

Z tego miejsca, wspomniany wyżej potomek kozaków Zaporozskich, Czarnomorskich albo Kubańskich<sup>105</sup>, wachmistrz Zacharczeńko, wysłany został z jednym kawalerzystą na podjazd w puszcę, w kierunku Lubieni. Obskoczony na krętej drożynie leśnej przez moskiewskich dragonów i kozaków, gdy postępujący za nim kawalerzysta w porę umknął, - mężnie walcząc, i ubiwszy kilku z nich, nie mógł się jednak z pośród najezdników wyrąbać, i po bohatersku poległ. Ciało jego, rozwścieczony wróg dzielnym jego oporem, i poznawszy, że był rodowitym kozakiem, na kawałki rozsiekął.

Musiała przeto ta, tak wyszydzana i ironicznie szlachecką i anarchiczną przezwaną, Polska, dobrze szczepić i zasiewać pojęcia wolności, szlachetności oraz pogardę dla zwierzęcego tylko żywota w swych ludach - skoro zostawiła tak silne pomiędzy temiż o sobie przychylnie wspomnienia; bo oto potomek w czwartym pokoleniu, do tego ludu zbałamuconego przy pomocy mamony i spodlonych popów, wiedzący o niej już tylko z legendy i podań, krążących pomiędzy wnukami i prawnukami, porzucił własną rodzinę i mienie, przyszedł dać życie w ofierze za wolność jej; gdy tylko posłyszał, że ta powstała,

---

<sup>105</sup> Prawidłowo. Kozaków kubańskich.



aby zrzucić z siebie ohydne jarzmo niewoli, narzucone jej przez najezdników, zdrajców i przy pomocy oszukanych jego przodków.- Wyruszyliśmy z obozowiska głodni, o godzinie 2 po południu, w kierunku północnym, i maszerowaliśmy polami, pomiędzy miastem Iłżą a Pasztową Wolą; tu doszedłszy do wsi Chwałowice, skręciliśmy w lewo, i traktem na Skaryszów posuwaliśmy się niby ku Radomiowi. Po za Skaryszewem, zwróciliśmy się jednak znów na północ, i w bok Wojstawic doszliśmy traktu bitego z Radomia do Zwolenia, którym jakiś czas maszerowaliśmy na wschód niby, znów do wymienionego ostatniego miasta; nakoniec, wśród pochmurnej ciemnej nocy, zrobiwszy zwrot w lasy, po lpwej stronie tegoż leżące, niemi przybyliśmy do patrijotycznej wsi Suchej, gdzie zastaliśmy gościnne przyjęcie i pożywienie, mimo tak późnej pory. Przenocowaliśmy smacznie, po zrobieniu w tym dniu przeszło 11 mil marszu, i tylko z jednym wypoczynkiem. Niech która arnija regularna czegoś podobnego dokaże!

6 Czerwca, do dnia, pomaszerowaliśmy dalej puszcza, na północny zachód, a około 10 r. stanęliśmy we wsi Jedlni. Tu zaaresztowano starego, siwego, sołtysa tej wsi, za naprowadzenie Moskali na oddział Kononowicza, dla marnych 1000 zł. polskich, którymi go wróg do tego haniebnego czynu skusił; onci wykrył i zakopaną przez rzeczony oddział broń, którą Moskale zabrali.

Sąd wojenny, po sprawdzeniu istoty czynów, skazał go na karę śmierci, przez powieszenie. Żeby zaś wsi nie narazić na zemstę Moskali, za wykonanie wpośród niej egzekucji na ich słudze, wyprowadzono go za wieś i na gruszcze, przy trakcie, na polach rządowych powieszono.

Tymczasem po ogłoszeniu wyroku, deputacja po deputacji od włościan wsi powyższej zjawiały się w kwaterze Czachowskiego, z prośbą o darowanie życia staremu zdrajcy. W końcu przybyła prawie większa połowa gromady, z księżmi miejscowymi na czele, przedstawiając: że na nich Moskwa mścić się będzie, za śmierć swego przyjaciela, błagają więc o darowanie życia zbrodniarzowi. Ponieważ zdrajca już był wyprowadzony po za wieś, Czachowski przeto wysłał oficera, wraz z paroma członkami deputacji i rodziną winowajcy, aby niby to wstrzymano egzekucją. Lecz zanim wysłani doszli, stary zdrajca już wisiał.

Około godziny 1 po południu, wymaszerowaliśmy z powyższej wsi traktem do Kozienic, to jest na wschód, i przechodziliśmy właśnie obok rzeczzonego wisielca. Nikogo już, nawet z rodziny przy nim nie było, wiatr nim tylko kołysał.

Uszedłszy z milę traktem, lasami zakryci, skręciliśmy w lewo, na północ; a o pół mili dalej, w głuchych ostępach, zwróciliśmy znów w lewo, i pomaszerowali na północny zachód. Szliśmy przeszło 3 mil, potem skręciliśmy znów w lewo, dążąc na zachód, i około godziny 10, w nocy, przeszliśmy pod osłoną jej cieniów trakt Radomsko - Warszawski, po pod samemi prawie Białobrzegami. Wynurzywszy się z puszczy Kozienieckiej, to jest różnych nazw lasów, w skład jej wchodzących, której samemi najgłuchszymi kniejami od zejścia z zamku kozienickiego wciąż aż do tej chwili maszerowaliśmy -pociągnęliśmy dalej. Przekroczywszy trakt Warszawski, zwróciliśmy się jeszcze raz tego dnia w lewo, i tą razą podążywszy na południowy zachód, o godzinie 1 w nocy, polami, weszliśmy do dworu, w Chruściechowie, na którego wybrukowanym dziedzińcu folwarcznym w szeregach ułożyliśmy się do snu.

Od wymarszu naszego do dnia z Suchej, że do wymienionego miejsca noclegu naszego, pod osłoną puszczy Kozienieckiej, zjednem naszym ukazaniem się we wsi Jedlni, i odbytym tam wypoczynkiem i pożywieniem nas - cały powyższy dzień

kołowaliśmy, obchodząc Radom: od wschodu, północy i zachodu. Przemierzywszy nogami swemi w dniu tym dobre mil 12, dopięliśmy swego celu; albowiem po zjawieniu się naszym, w okolicy: Iłży, Skaryszewa, Jedlni, i wymarszu z niej ku Kozienicom, gdy Moskwa gwałtownie pędziła na wschód od Radomia swe kolumny; to my najspokojniej, choć na kamieniach, ale za to i prawdziwym kamiennym snem, resztę tej nocy o mil 2½ na zachód od Radomia przespaliśmy.

7 czerwca, po wschodzie słońca, pożywiliśmy się w Chruściechowie; sprawdziliśmy, że miejsce na którym stał rozwiniętym frontem dywizjon dragonów moskiewskich, podczas bitwy 29 maja, gdzie padł major oraz kilku żołnierzy - było odległem od pierwszych karłowatych sosen, z po za których wypadły nasze strzały o 1530 kroków. Wtedy wyrzekł Czachowski rubasznie a dobrotliwie, klepnąwszy mnie po ramieniu:

- Teraz widzę dowodnie, bratku, że to twoja kula także wyprawiła i Klewkowa na tamten świat.

Dotąd każdy z czterech towarzyszy moich, którzy podczas bitwy, d. 4 maja, pod Buryą stanowili siłę naszego centrum i strzelali wraz ze mną, do stojącego frontem do nas nieprzyjaciela mimo, że strzelaliśmy pojedynczo, i mimo że po moim strzale jeździec drgnął a koń podskoczył, i obaj następnie zeszli z placu bitwy do wsi rościli sobie pomimo to pretensje do wyprawienia do piekła, do bezpośredniej już służby u samego Lucypera, tego wiernego carskiego narzędzia, które despocie swemu ślubowało, stać się najślawniejszym z okrucieństw, byle zadostać uczynić krwawej jego chuci.

Około 6, rano, wymaszerowaliśmy dalej ku zachodowi, nieco na południe; i weszliśmy do wsi Bukowca, aby znów obchodzić uroczystość Bożego Ciała, w niedzielę po wsiach naszych odbywaną.

Po ukończonem nabożeństwie, pomaszerowaliśmy dalej, w poprzednim kierunku; lecz już po za wymienioną wsią, w polach, zjawili się dragoni, po naszej lewej stronie, zdala nam flankierując i pojedynczemi a zupełnie dla nas nieszkodliwemi strzałami, nam towarzysząc w pochodzie. Piechota tymczasem, wysłana z Radomia na Przytyk i Potworów, śpieszyła przeciąć nam drogę w Opoczyńskie. Nie śmieli nas wzywać, gdyż czuli, że ich było za mało, aby chcieć nas ostrzej zaczepić.

To też i my, wiedząc, o co im chodzi, maszerowaliśmy zupełnie obojętnie jakby ich wcale na świecie nie było. Doszedłszy zaś do Kozinek, i zbadawszy przy pomocy kawalerji, że lubo trochę wyprzedziliśmy silną kolumnę, wyprawioną na nas z Radomia, ale ta już przybyła do Potworowa, o małe pół mili od nas, i ze maszerując dalej, w poprzednim kierunku, będziemy przeto musieli z nieprzyjacielem cztery razy od nas silniejszym, i do tego w czystych polach bój stoczyć, a tem samem w najgorszych dla nas warunkach; zwróciliśmy więc z Kozinek w prawo, w pas leśny, po nad rzeką Pilicą, i znikliśmy w nim, maszerując następnie w kierunku północno zachodnim.

Około godziny 8, wieczór, po przebyciu różnych nazw borów, samem i kniejami, wyszliśmy z nich po pod same Nowe Miasto, nad rzeką Pilicą; lecz już za to i na terytorjum województwa Mazowieckiego leżącego. Po moście drewnianym przebywszy rzekę, wkroczyliśmy do niego z rozwiniętym sztandarem, przy śpiewie patriotycznych pieśni.

Stan wody, szeroko tu już płynącej Pilicy, z przyczyny dłuższej posuchy, na górnym jej biegu, był tak niski, że w bród takową w wielu miejscach przejść łatwo można było; to też zaraz zarządzeniem zostało zdjęcie pokładu z bardzo długiego mostu, i

obsadzenie tegoż przez część strzelców.

Gdyśmy stanęli w bardzo obszernym rynku miasteczka, ten wkrótce, zwłaszcza że to była niedziela, wypełniony został świątecznie przybranymi mieszkańcami, tak jego jak i wsi do parafji tamecznej należących. Serdecznie i radośnie nas witano, z nadzwyczajnym ze strony mieszkańców rozrzewnieniem.

Czachowski zakomenderował:

- Oddział formuj kare! - a następnie - broń do nogi! - Do modlitw klęknij! - Odkryj głowy!

Kapelan oddziału, przybrany w komżę i stułę, z krzyżem w ręku, stanął w pośród tegoż i rozpoczął zwyczajne nasze w obozie nabożeństwo z nami odprawiać, którego nigdy nie opuszczaliśmy; choć klęczałem, rzuciłem jednak okiem, i ujrzałem, że na wszystkie strony, cały otaczający nas tłum, którego  $\frac{3}{4}$  stanowili sami Izraelici, przeważnie to miasto zamieszkujący, również z nami klęczał, a po skończonych modłach i religijnych naszych pieśniach, gdy generał wydał nam ostatnią swą komendę:

- Broń w kozły! - w miejscu spoczni! - i my takową wykonali; - to rzucił się na nas, i zaczął ze łzami wzruszenia nas witać i serdecznie ścisnąć; co, gdy mu z równą wzajemnością odpłacaliśmy, w parę minut naniósł tyle różnych: pieczeni, polędwic, kur, gęsi, kaczek i różnych wędlin, chleba, bułek, ciast, kugli, obarżanków, pierników; a z trunków: wina, porteru, piwa, rozmaitych wódek, likieru, miodu - że nas wszystkich nie tylko nakarmił i napoił, ale zaledwie połowę ich spożyć i wypić bylibyśmy w stanie.

Nad samym wieczorem, kolumna nieprzyjacielska, wyprawiona przeciw nam z Radomia, składająca się: z 7 komp. piechoty, dywizjonu dragonów i drugiego kozaków, zjawiła się już po drugiej stronie Pilicy; a znalazłszy most na niej w części rozebranym, przy nim się zatrzymała.

Stu czterdziestu z piechoty i strzelców udało się tej nocy na wedety, które szczególnie po naszej stronie rzeki, silnie i gęsto ustawionemi zostały, obserwując w milczeniu wszelkie ruchy Moskali. Kawalerję, prawie wszystką, z odpowiedniami instrukcjami wyprawiono na podjazdy i dla sprowadzenia potrzebnych nam na gwałt podwód.

Gdyśmy bowiem przebiegali w różnych kierunkach Sandomierskie, z wyjątkiem dopiero co przez nas przebitego kawałka pasu leśnego, opowiadano nam niejednokrotnie, jakimi to wielkimi siłami powstańcami, w tych stronach: Drewnowski<sup>106</sup>, Oborski<sup>107</sup>, Sejfar v. Sejfrid<sup>108</sup> i Bejer<sup>109</sup> rozporządzają. Słowem, że wymienieni dowódcy stoją jeszcze na czele przeszło 400, dobrze zorganizowanych, uzbrojonych i wyćwiczonych powstańców.

Tymczasem w dopiero co dokonanych marszach, sprawdziliśmy dokładnie, że te oddziały i ich dowódcy już wcale nie istnieją; a strony rzeczony nawiedza jeszcze tylko czasem nieliczna wcale kawalerja: Grabowskiego<sup>110</sup> i Lipskiego<sup>111</sup>, do Mazowieckiego

---

<sup>106</sup> To pseudonim Jana Jaworskiego, który zorganizował niewielki oddział w powiecie rawskim. Czasami z oddziałem zapuszczał się w powiat radomski. Był sympatykiem Ludwika Mierosławskiego.

<sup>107</sup> Oborski Ludwik, operował na podobnym obszarze.

<sup>108</sup> Prawidłowo: Seyfried Alfons, sympatyk Mierosławskiego. Jego niewielki oddział został rozbity pod Ojcowem 21 czerwca 1863 roku.

<sup>109</sup> Prawidłowo: Bajer Julian dowodził niewielkim oddziałem jazdy w powiecie rawskim i opoczyńskim

<sup>110</sup> Grabowski Władysław dowodził niewielkim oddziałem jazdy w województwie sandomierskim i mazowieckim.

województwa już należąca, która przed naciskiem tyłów wroga, chwilowo pod ich osłonę się chroni.

W rozmowie z mieszkańcami Nowego Miasta i organizacją jego skonstatowaliśmy, że żaden już oddział powstańczy pieszy w powiatach: Warszawskim, na którego powierzchni wówczas staliśmy, ani sąsiadujących z nim: Rawskim, Piotrkowskim i Łowickim, już nie istnieje, i tylko rzeczona wyżej kawalerja czasami po nich przebiega; natomiast, że oprócz kolumny Moskiewskiej, której wedety stały naprzeciw naszych, mamy przed sobą na północ, w Grójcu: pułk pieszy, baterję artylerji i odpowiednią ilość kawalerji, stałą załogę rzeczonoego miasta, o 3 mil tylko od siebie a nawet jeden z bataljonów tegoż pułku stojący, w Mogielnicy, o milę tylko jedną oddalony; - w lewo, na zachód, w Rawie, takąż samą silną załogę nieprzyjaciela, również o mil tylko 3 od nas odległą; na prawo zaś, na wschód, w Białobrzegach, o mil 4 nie całe: bataljon piechoty, szwadron dragonów i sotnię kozaków. Gdy do tego wszystkiego wiedzieliśmy, że okolica, w której się ukazaliśmy, jest prawie bezleśną, a od naszych oddziałów ani wsparcia, ani amunicji spodziewać się nie mogliśmy; przeto musieliśmy się postarać, aby jak niespodziewanie tu przybyliśmy, tak również jeszcze niepostrzeżeniej stąd się wymknąć, i to jak najprędzej. Mimo więc, że nas powyższe smutne uwagi dojmowały, bawiliśmy się wesoło i ochoczo, biwakując w rynku, nieopuszczającymi nas mieszkańcami, aż do godziny 12 w nocy. Tu przeprosiliśmy resztę z nami jeszcze przesiadujących, oddaliśmy im dobranoc, i ułożyliśmy się do snu, w szeregach każdy ze swą bronią; wkrótce w najlepsze jakoby mocno snem zdjęci, chrapać poczęliśmy. Radzi więc nie radzi, zapóźnieni mieszczanie, w nadziei poniedziałkowania jeszcze z nami, udali się na spoczynek do swoich mieszkań.

Tymczasem zaszły sprowadzone przez kawalerję podwozy, z okręconemi słomą kołami i kopytami końskimi; a my, w cichości powstawszy z udanego snu, siedliśmy na takowe, i noga za nogą, uśpionem już miastem, po godzinie pierwszej po północy, na wschód wyjechaliśmy, i podążyliśmy drogą po lewym brzegu rzeki Pilicy.

---

<sup>111</sup> Nie odnotowuje nazwiska takiego dowódcy dla województwa sandomierskiego i krakowskiego Stanisław Zieliński (*Bitwy i potyczki 1863-1864*, Rapperswil 1913).

## ROZDZIAŁ XVII

### DZIEŃ 8 CZERWCA, 1863 R. BITWA POD PRZYSTAŁOWICAMI, BĄKOWEM I RUSINOWEM

Około godziny 3, w nocy, zatrzymano podwoły; a Czachowski zabrawszy całą prawie kawalerją, galopem z takową pocwałował w lewo.

W niespełną godzinę, powrócili wszyscy prowadząc 46 koni, z całym kawaleryjskim umontowaniem i uzbrojeniem oraz bryczkę w parę koni zaprzężoną a na niej siedzącą jakąś damę.

Generał dowiedziawszy się, że Stamirowski, który po ułaskawieniu nakłonił swych dawnych kawalerzystów do zbiegostwa z oddziału Markowskiego, w starciu z dragonami pod Michałowicami - obecnie jako rekonwalescent, prowadził dalej ohydne rzemiosło pozornego partyzanta a rzeczywistego zdrajcy, w służbie carskiej zostającego; i z temiż rabował jak poprzednio dwory i włościan; w czasie zaś naszego wczorajszego przemarszu, przez pas leśny, zbiegł za Pilicę, i nocuje we wsi Stamirowicach, u swoich dziadków. Z wziętą przeto kawalerją, otoczył rzeczonych rozbójników, którzy właśnie hulali we dworze i zabrał ich do niewoli.

Na widok naszych kawalerzystów, banda Stamirowskiego, zawiadomiona przez swoje czaty, wysypawszy się ze dworu, zaczęła siadać na koń. Czachowski, który z kilkunastoma swojemi jeźdźcami wpadł na dziedziniec z rewolwerem w rękę, grzmiącym głosem rozkazał im zsiąść z koni i odstąpić od nich, grożąc w razie oporu najmniejszego, wystrzelaniem ich co do nogi.

Maroderzy wykonali ślepo rozkaz, konie otoczono a ich rozbrojono w okamgnieniu. Stamirowski, wypadłszy ze dworu, chciał także na koń wsiadać. Zobaczywszy jednak, co się stało, uciekł do dworu z powrotem, i w takowym się ukrył. Odkomenderowani, do wyszukania i wyprowadzenia go, powrócili zniczem.

W tem, adjutant zdrajcy - a miał go już trzeciego z rzędu, bo każdy z poprzednich, jak sami potem zeznawali, umykał niby od niego, wynosząc zawsze po kilkadziesiąt tysięcy z rabunku pochodzących - przystąpił do oficera kawalerji z Galicji, Mikoszewskiego, i szepnął gdzie jest jego dowódzca ukryty. Udano się przeto jeszcze raz do dworu, pociśnięto ukrytą w tapetach sprężynę, i tu ukazał się mały ciemny schowek, z którego wyciągnięto zdrajcę, z pod stoliczka, w skulonej postawie siedzącego.

Gdy go wyprowadzono przede dwór, krzyknął Czachowski:

- Kto ci dał upoważnienie do formowania oddziału i nominację na dowódcę?

Za całą odpowiedź, Stamirowski okazał nominację z pieczęcią Rządu Narodowego.

- Daj ją tu! - krzyknął znów stary wódz.

A gdy mu ją podał, i bliżej obejrzał takową, uniesiony najwyższą pasją, huknął - rozbójniku! rabujesz dwory i włościan; zdrajco! udajesz partyzanta, a Moskwie służysz, i w dodatku jeszcze fałszerzem jesteś? - Wypchnijcie go naprzód!

A gdy trzymający go za barki, popchnęli skośnie naprzód, Czachowski spuścił swój rewolwer, i do niego wypalił.

Nie rozumiem, jak wytłumaczyć sobie, chyba zbyt niemiłym uniesieniem generała, że tak sławny strzelec, nie położył go na miejscu trupem; kula tymczasem wyrwała mu tylko kawał wierzchniej wargi i chrząstki nosowej, a zdrajca obłany krwią runął jak długi na ziemię, krzycząc:

- Dobij!

Czachowski zwrócił się wtedy do Mikoszewskiego, który z powrotem już siedział na koniu, i znów zagrział:

- Popraw!

Oficer spiesznie wyciągnął pistolet z olstr, strzelił do leżącego, i znów tylko rękę mu przestrzelił.

- Dobij! - krzyczał Stamirowski ciągle.

Zalterowany Czachowski, rozkazał oficerowi jeszcze raz strzelić.

Mikoszewski zsiadł z konia, i wziąwszy własny rewolwer Stamirowskiego, wiszący na smyczy, przyłożył takowy mu do serca, i pociągnął za cyngiel. Piston spalił, lecz rewolwer choć nabity, nie wypalił.

Stary wódz, widząc to, wyrzekł:

- Zostawcie łajdaka!

Wydał rozkazy zabrania koni i rekwizytów wojskowych, oraz jakiejś przystojnej młodej kobiety, rolę niby to kurjerki przy samozwańcu odgrywającej, którą śmiało w dom swych dziadów wprowadzić. Zabrano kurjerkę z torbą pieniężną, którą przy sobie miała, a w niej znaleziono czterdzieści kilka tysięcy zł. pol., oraz i bryczkę do zbrodniarza należącą, którą wyładowano uzbrojeniem. Rozpędziwszy na cztery wiary resztę bandy, generał, pospieszył do nas z powrotem.

Podążyliśmy dalej, a o wschodzie samym słońca, przez most, pod Grzmiącą, przejechaliśmy znów na prawy brzeg Pilicy, i dwór, powyższego nazwiska zajęliśmy, nie rozbierając za sobą mostu, na prośbę dziedzica; obsadziliśmy go tylko silnie strażą.

Stanęliśmy z boku dworu, w obszernych jego sadach, a korzystając z sadzawek w nich, zaczęliśmy się kąpać, oczyszczać z nędzy i pokaleczeń z forsownych marszów. Ciało popękane i materyzujące, łojem ze świec nacieraliśmy.

Gdy w najlepsze powyższą czynnością zajęty byłem, ukryty między drzewami i wysoko wyrosniętą trawą, usłyszałem, że szef Eminowicz dopytywał się o mnie. Znalazłszy zaś, oświadczył mi, że dziedzic i cała jego rodzina, dobrze mi z Radomia znani, zapraszają mnie koniecznie do dworu.

Zmięszany, przedstawiłem stan obecny mego ubrania, i oświadczyłem, że serdecznie ich przepraszam, ale zadosyć uczynić zaprosinom obecnie nie mogę. Widząc, że wszelkie perswazyje na nic się zdały, pozostawił mnie w spokoju. Uniform bowiem mój cały stanowiła jedynie koszula jedwabna, w oliwie wygotowana i z żaglowego płótna spodnie, zniszczone w najważniejszym miejscu; nosiłem to po krakowsku, czy tam po szkocku, to jest: po wierzchu opasując się szerokim rzemiennym pasem. Obraz, zwłaszcza dla młodych a pięknych dam, które wiedziałem, że tam zastanę, wcale nie ponętny i nie szczególnie przedstawiający dawnego kawalera Radomskiego.

Za chwilę atoli wrócił Eminowicz, wzywając mnie, lecz już teraz do generała, dla załatwienia ważnych służbowych interesów. Wpatrzyłem się w niego, zapytując: gdzie jest kwatera dowódcy? Odpowiedział, że jest osobno, na piętrze, w pałacyku.

Zrobiwszy uwagę, że uczułem się obrażonym, gdybym się przekonał, że jest to tylko wybieg; w opisanym uniformie, z bronią, której z nas żaden na chwilę nie

opuszczał, udałem się za szefem do pałacyku. W sieni, oficer ponowił wezwanie do naczelnika.

Zatrzymawszy mnie, na przeciwko drzwi, do wnętrza parteru wiodących, niby o coś pytać się zaczął.

Naraz, drzwi rzeczono się rozwarły, a jednocześnie oficer i Eminowicz, raptem w nie poprostu mnie wepchnęli. Za progiem sali, stojący Czachowski, przywitał mnie homerycznym śmiechem i słowami:

- Przecież, bratku, choć służbą odludku zwabiliśmy cię tutaj - i dodał: rekomenduję państwu pierwszego mego strzelca a mordercę przeważnie oficerów moskiewskich - i dodał wiele innych arcyPOCHLEBNYCH pochwał.

Zaczerwieniłem się zmieszany, raptownem mem wpadnięciem do salonu i powyższą rekomendacją wodza, czułem bowiem, że panie, powróciwszy do Radomia, nie omieszkają powtórzyć ją dosłownie przyjaciółkom pod sekretem, te znów znajomym, a tą drogą dostanie się ona z dodatkiem do Moskali - i wyjedna mi szczególną ich troskliwość o moją osobę.

Nie zważając przeto na czynione mi wymówki, że chciałem życzliwy zawsze ich dom, tem więcej obecnie pominąć-przerwałem prawione mi komplementa, prosząc przedewszystkiem: o pozwolenie usięścia, co natychmiast wykonałem, obciągnąwszy na kolanach swoją jedwabną z koszuli bluzę. Parsknięto w salonie wesołym śmiechem, panie poczerwieniały, i grzecznie a z prawdziwie przyjacielskiem uczuciem podały mi swe rączki.

Ożywiona a serdeczna rozmowa, i prawdziwie staropolskie, szczerze a wielce gościnne przyjęcie prawie wszystkich oficerów, z wyjątkiem służbę zewnętrzną pełniących, o których także nie zapomniano i co potrzebować mogli, obficie im dostarczano - trwały we dworze tym kilka dobrych godzin.

Oddział zaś, ugotowanym w kotłach pożywnym obiadem, dostarczonym choć w porze tak rannej, i wódką a piwem, również uraczono suto.

Przed wymarszem naszym, w wielkim tym majątku, został zarządzony pobór do wojska narodowego, który faktycznie stanowił kilkunastu ochotników, co poprzednio w innych oddziałach już walczyli. Panie a nawet i inni obecni, pragnęli być przytomnymi ceremonii składania przysięgi na wierność ojczyźnie.

Gdy więc generał dał mnie polecenie odebrania takowej, to pożegnawszy się z gospodarstwem i gośćmi, powróciłem z sztandarem i strażą tegoż pomiędzy kłęb lipowy przed pałacem, a kapelan, w komżę i stułę ubrany, z krzyżem w ręku, stanął i przemówił do zgromadzonych już tam nowych naszych towarzyszy broni: o ważności i wielkości przysięgi i obowiązkach z niej wypływających; położył każdy dwa palce prawej ręki na drzewcu, trzymanego poziomo sztandaru, i rotę przysięgi bardzo silnie i krępująco ułożoną, dobitnie wygłosił. Po słowach:

«Tak mi Panie Boże w Trójcy świętej jedyny i niewinna syna Jego męka, dopomóż! Amen» podany przez kapłana krzyż całowali. Po czem, kapłan, odmówił następnie benedykcję i wodą święconą pokropił; a my po bratersku ich ucałowaliśmy, jako naszych już braci i kolegów. Przed przysięgą wszyscy odbywali spowiedź.

Pożegnawszy się potem ostatecznie, zaraz z Grzmiącej wymaszerowaliśmy; gdyż około 9 godz. rano, Moskale zjawili się już po drugiej stronie Pilicy, i dążyli do niezniszczonego przez nas mostu.

Siadłszy na podwody, któremi przybyliśmy do Grzmiącej, wyruszyliśmy w

kierunku południowo- zachodnim, i dostaliśmy się wkrótce po pod pas leśny, na drogę, którą wczoraj prawie o tym samym czasie maszerowaliśmy z Bukowna. Dojechawszy zaś do Kozinek, odprawiliśmy wczorajsze podwoły, a zażądaliśmy nowych.

We wsi rzeczonej, za ledwie przy pomocy Eminowicza, zdołałem wyjednać u dowódcy puszczenie na wolność damy Stamirowskiego, której stary wódz groził chłostą.

Około godziny 2, popołudniu, gdy wysłany rekonesans w kierunku Potworowa startł się już z dragonami, siedliśmy znów na nowe podwoły, i ruszyliśmy w dalszą drogę, w poprzednim kierunku. Była blisko 4ta, gdy przejechaliśmy wieś Przyszałowice i Bąków. Gdyśmy wyminęli ostatnią wieś, o jakie 2000 kroków od Grzmiącej, a prowadziłem awangardę, uderzył mój wzrok wysoki tuman kurzawy, bardzo silny, na znanej mi piaszczystej, z Sulgustowa do rzeczonych wsi wiodącej drodze.

Obejrzałem się za jenerałem, aby zwrócić jego na to uwagę; i gdy zajęty głównie obserwacją zjawiska, nie zajmowałem się niczem innym, to dostrzegłem dopiero teraz, że Czachowskiego, Eminowicza, całego sztabu a nawet bardzo wielu oficerów od innych kompanij, nie było przy posuwającym się na podwodach oddziale.

Wstrzymałem przeto podwoły, i zacząłem się rozpytywać, gdzie się mogli podziać? Objasniono mi, że podczas przejazdu przez rzeczone wioski przystali się w tyle, i nie wydawszy żadnej dyspozycji oddziałowi, sami wstąpii do jednego z dworów. Przyznam się, że boleść wraz z oburzeniem opanowały mną na widok tej nowej lekkomyślności. Nie mogłem sobie w żaden sposób wytłumaczyć, aby dla nędznego przyjęcia ryzykować życie i wolność własną a oraz i podkomendnych, w tak stanowczej chwili jaką była obecna.

Droga, na której wstrzymałem podwoły, leżała na płaszczyźnie, a po prawej jej stronie nieznacznie, o parę za ledwie stóp była podniesioną i obsianą zbożem ozimem, bardzo wysoko wyrosłem, w którym rosły wieśniak z swą wysoką baranią na zawiasach czapą byłby się zupełnie schował. Na lewo była powierzchnia cokolwiek niższa, do tego miejscami na parę stóp znów zakłębiona, i pozostawiona ugorem, za którym o parę stajań za ledwie, na południe i południowy wschód, rozpoczynały się młode, niewielkie, ale bardzo gęste lasy.

Stałem na literach podwoły, aby zbadać przyczynę kurzawy; a gdy łąn zbożowy, przeszło na dwadzieścia stajań długi, ku północy się trochę obniżający, dopuszczał sprawdzić takową, rozkazałem, aby kawalerzysta stanął na siodle i odkrył powód. Nie mógł i tak nic dojrzeć. Zaniepokojony szybkim i zbyt wysokim wznoszeniem się tumanów - rozkazałem oficerowi H. K. wziąć pięciu kawalerzystów, i co koń wyskoczy pędzić z powrotem do wyminiętych wsi.

Dopadłszy zaś do nich, po jednym kawalerzyscie miało się oddzielić, i wpaść do dworów, zawiadamiając jenerała i resztę oficerów, o nadciągającym nieprzyjacielu.

Oficer sam, z pozostałymi trzema, mieli dalej pędzić galopem, aż ku końcowi drogi topolowej, którą im ukazałem, a która z Sulgostowa, do Przyszałowic prowadziła - i o ile się tylko uda, zbliżyć do rzeczonych tumanów kurzawy. Powstańcy się śmiali, utrzymując, że to pewnie stado owiec lub bydła tamtędy pędzą; ale ja od razu poznałem, że to pędzi kawalerja moskiewska, co też jeden kontra wszystkim utrzymywałem.

Z natężoną uwagą obserwowaliśmy szaloną jazdę naszych kawalerzystów.

Znikłszy nam w pierwszej wsi, dopiero po kilkunastu minutach ujrzeliśmy ich po przecwałowaniu drugiej wioski, którą nam pierwsza zasłaniała. Gdy wpadali w aleję do



Sulgustowa, zbliżyli się do jej końca, to wystrzeliwszy przed siebie, w miejscu zwrócił konie, i zaczęli z powrotem dalej pędzić. Dopiero śmiechy ustały, a zastąpił je okrzyk: Moskale! Ja zaś dopowiedziałem, że to są dragoni, co wczoraj stali po drugiej stronie Pilicy, pod Nowem miastem, a dziś, prostemi przez lasy drogami, tu dopędzają, i chcą w polach do bitwy zmusić; zanim piechota moskiewska, która gdzieś nam tu front zachodzi, takowy zajmie, aby nie dopuścić nas do gór i lasów, do których jeszcze mamy mil 2½ przeszło.

Zakomenderowałem przeto natychmiast, oddziałowi: zsiadać z podwód, i formować się frontem, na północ do drogi i żyta, wybrawszy do tego najniższy jaki był teren na ugorze. Piechocie i strzelcom rozkazałem zdjąć bagnety, i stanąć z bronią do nogi.

Za poprzednim frontem, sformowałem o kilka kroków kosynjerów, z opuszczonemi w dół kosami, a to dla tego, aby dragoni sądzili, że natrafili na samą tylko kawalerję, i aby zachęcić ich do uderzenia wprost przez zboża, szarżą na takową. Postanowiłem nie przepuścić ich skośnie, drogą Sulgostowską do Przystałowic, a następnie do rzeczonoj wsi przez Bąków, do nas wiodącej, przeszło trzy razy dłuższą od pierwszej; i w ten dopiero sposób ocalić Czachowskiego i oficerów, od dostania się w ich ręce. Gdyby zaś po mojej myśli, wprost przez zboża do ataku przystąpili, wystąpić niespodziewanie ze strzelcami, i dać im należytą odprawę.

W tym celu na wabika rozkazałem kawalerji, z Galicji przybyłej, od której już Czachowski majora Figettego odprawił: sformować się w jedną linję, o kilkanaście kroków za piechotą na wyższym już miejscu, i o ile się tylko da, otworzyć na piersiach granatowe kurtki a błysnąć Moskwie amarantowemi koszulkami i ułankami, oraz wzniesić wysoko chorągiewki amarantowe z białem. Po za tą kawalerją zaś, kazałem się ustawić reszcie starej naszej jazdy.

Z początku, nowoprzybyli, zaczęli trwożnie robić uwagę, czy mam zamiar ich na rzeź wystawić zwracając zbytnio na nich uwagę Moskwy? Na to rozśmiałem się, ukazując na piechotę przed nimi, i zapewniając ich, że po trupach tylko naszych, dopiero dragoni dostaliby się do ich ślicznych amarantowych mundurków... Podwodom zaś kazałem oddalić się natychmiast po za nasze tyły, w laski, i w nich się ukryć. Dodałem im jednakże informację, że gdy połyszą, iż na piękne tutaj bitwa się rozpoczęła, to mają pojedynczo a różnemi drogami do swych domów wracać, aby nie wpaść w ręce nieprzyjaciela.

Zaledwo wykonano powyższe dyspozycje, gdy stojąca w tyle kawalerja zawiadomiła mnie, że widzi już dokładnie dragonów moskiewskich, formujących się do szarzy na końcach łańców, od północy obsianych jaremi zbożami, a następnie już posuwających się coraz prędzej.

Zażądałem, ażeby starała się podać o ile tylko może, dokładnie odległość ich, w równych setnych cyfrach albo oznakach stajali łańcu.

Gdy kawalerzyści wymieniając mi od 1000 kroków, przyszli do 800-to na Boga już prosili, aby wystąpić przeciw pędzącemu w liczbie dwóch szwadronów nieprzyjacielowi, starającemu się jak mnie objaśniali, uderzywszy skośnie frontem, przez ich lewe skrzydło, tyły im zając; gdyz w dalszym swym pędzie kierują, się w prawą swoją, a lewą naszą stronę. Uparcie milczałem na ich wyrzekania. Dopiero gdy mi wymienili 500 kroków, zakomenderowałem piechocie i strzelcom bagnety założyć, a kosynjerom, kosy do góry podnieść; następnie, rozsypawszy swoich strzelców, przeważnie w lewo,

poszedłem na wyższy teren, w zyta, rozpoczynając pojedynczy, wolny a celny ogień.

Jeszcze i trzecia część strzelców nie wystrzeliła, gdy dragoni moskiewscy mając od ich kul swój szyk złamany, jak oparzeni, w tył gwałtownie, po za linię strzałów uciekali, mimo, że w tym ich gwałtownym odwróceniu, na dalsze dystanse strzelać nie dozwalałem, z przyczyny braku amunicji.

Trzeci już raz szli Moskale do szarży, pędzeni przez oficerów pałaszami, towarzyszeni przez umyślnie zaprawionych wyźłów do tropienia powstańców, gdy Czachowski z oficerami i wysłanymi kawalerzystami do nas powrócił, i stanowisko przed kawalerją zajął.

Dragoni szli na nas ciągle z ogniem karabinowym. Traf zrządził, że tą razą kula ich tak blisko przeszła z warczeniem swem niemiłem obok lewego mego ucha, że mimowoli obróciłem się natychmiast śledząc ją wzrokiem, i ujrzałem jak klapnęła oraz uwięzła w prawem biodrze tylnej nogi konia Czachowskiego, a farba się po drodze z rany połała. Czachowski, który w tej chwili miał stopę swej prawej nogi znacznie w tył ku zadowi konia podaną, zachnął się, i wyprostowawszy ją, a uniósłszy się w strzemionach, wymówił mimo woli : - oho! W całym otoczeniu natychmiast powstał okrzyk:

- Ojciec ranny!

- Nie! - odpowiedziałem i dodałem - Higin, podaj swego konia Ojcu! To koń Ojca został raniony. Tego zaś wzięść w tył.

A gdy odparci i tą razą dragoni uciekali w tył, odwróciłem się do Czachowskiego, i rozwinąłem przed nim pogląd mój na przyczynę ich ataków udawanych. Przyjęcie stanowczej bitwy w tym miejscu, uważałem za największy błąd, mogący spowodować tylko i stanowczą klęskę. Radziłem przeto, póki czas, gdy piechota moskiewska dalszego nam marszu jeszcze nie przecięła: sformować kolumnę pochodową, i dążyć forsownym marszem do gór, po za Goździkowem się wznoszących. Ja zaś, ze strzelcami, odwrót będę zasłaniał.

Podumał kilka sekund generał, i zakomenderował:

- Rudowski! - rozsyp kompanję w tyraljery; dla zastąpienia jego strzelców. Ty zaś zwijaj strzelców, i pójdiesz z nimi w awangardzie kolumny. - Reszta oddziału, formuj się w kolumnę pochodową!

Gdy kompanja Rudowskiego rozsypywała się i zajmowała pozycję moich strzelców, zwinąłem w kolumnę pochodową. Oddział sformowany w kolumnę, pomaszrował drogą na południe, do Rusinowa. Przechodząc mimo że swą kompanją w awangardę, dostrzegłem w kompanji Brückmana jakiegoś młodziutkiego Galicjanina, który trzymając na lewem ramieniu karabin, w prawej ręce trzymał białą mocno pokrwawioną chusteczkę, przyciskając takową do wierzchniej swej wargi; gdy na szyi poniżej lewego ucha, krew się mu z rany od kuli sączyła. Zapytałem go przeto, w które miejsce ranny? Odjąwszy chustkę od nosa, ukazał mi lejącą się z rany krew, oświadczając: że to nic, gdyż kula go w poprzek, po ustach tylko drasnęła.

Z tego poznałem, że biedak nie wiedział nawet, iż taż sama kula po za uchem, przez jego twarz i usta przebiwszy, przeleciała. Nie mówiąc o tem, rozkazałem mu tylko odebrać karabin a podawszy mu własną białą chustkę, w uwolnioną lewą rękę, zaleciłem mu przytrzymywać tżż, po za uchem, oświadczając i ukazując zarazem znów krew, że tam go i druga, «poprzek drasnęła;» tak obok mnie doszedł aż do furgonu, na który go wsadzono. Zająwszy stanowisk, maszerowałem na czele kolumny, ku Rusinowu, odległemu od Bąkowa o dobrą milę, samemi równiami jak stół polami. Kompanja zaś

Rudowskiego, odstrzeliwając się wciąż atakującym ją i cofającym się dragonom, postępowwała łańcuchem tyraljerskim za nami.

Przypatrując się co chwila szarżom moskiewskiej kawalerji, utwierdziłem się jeszcze więcej w pierwszym mem przekonaniu: że jej szło tylko o wstrzymanie naszego pochodu, aby dać możność swej piechocie przecięcia nam dalszego marszu.

Byłem pewny, że gdy zbliżymy się więcej ku Rusinowu, to połowa dragonów zechce nas bokiem wyminąć, i zająć przed nami tenie, aby nas w miejscu zatrzymać. Pałac Rusinowski otoczony był angielskim parkiem, dziewięćdziesiąt przeszło morgów chełmińskich zajmującym, i na wysokość człowieka omurowanym w kształcie elipsy. Od drogi, którą maszerowaliśmy, a w dalszym ciągu drogi od Smogorzewa, pod kątem prostym takową przecinającą, była jedyna główna droga do dworu. Przy tych drogach, na zewnątrz muru parku, było kilka murowanych budynków, z nich parę piętrowych. Zająty ciągle powyższą myślą, gdyśmy połowę drogi od Bąkowa uszli, dałem rozkaz sierżantowi Kalinowskiemu, że straży ogniowej Warszawskiej: aby na czele dwudziestu dziewięciu strzelców, pojedynczo i schyleni, występowali z szeregu; zaszywali się w rosnącą po prawej stronie drogi pszenicę, i bruzdami tejże równoległe do drogi chyłkiem biegli ku Rusinowu; a gdy się zboża skończą, żeby dopęłzli ostrożnie, do opisanych budynków; przekonawszy się zaś, że nieprzyjaciół tam jeszcze nie ma, takowe obsadzili; okna i drzwi pootwierali zawczasu, oraz za temż i ich węglami się ukryli, i oczekiwali na przepowiadany przezemnie atak połowy kawalerji moskiewskiej. A jeżeli ten rzeczywiście nastąpi, by takowy odparli. - Moi strzelcy, nie postrzeżeni nawet przez inne kompanje, w pszenicy znikli.

Gdyśmy zbliżyli się na ćwierć mili do Rusinowa jak przewidziałem, oddzielił się szwadron moskiewski; i cwałem jak wiatr, przeszło o 2000 kroków od prawego boku kolumny, pędził, aby wyminąć i zająć wieś przed nami.

Ujrzawszy ten manewr nieprzyjaciela, Czachowski, przypadł galopem zmieszany do mnie, i zakomenderował gwałtownie:

- Część strzelców biegiem wysełaj, dla uprzedzenia dragonów w Rusinowie!

- To byłoby już za późno Ojcze! - odpowiedziałem - bo Rusinowskie budynki, przy naszej drodze, już są przez moich strzelców obsadzone.

- Jakto? kiedy? Nie widziałem wcale, abyś ich wysłał? .

Opowiedziałem mu wtedy całe moje zarządzenie. Czachowski rozchmurzył się, z radością i z zadowoleniem spojrział przeciągle po mnie; a jadąc obok, bacznie tylko obserwował szaloną jazdę, pędzącą ku wsi kawalerji nieprzyjacielskiej.

Zaledwie upłynęło kilka minut, i ta dopadając do omurowania parku, zmieniawszy swój rozwinięty front, którym naprzód sadyła, obok tegoż, trochę w lewo, na południowy wschód, przybliżyła się do obsadzonych budynków, na paręset kroków: gdy posypały się na nią pojedyncze celne strzały, od których jak ukropem oblana, ze stratą kilku swoich, w tył zawróciwszy, uciekać zaczęła, a obleciawszy północną stronę parku, na zachodniej z oczu naszych znikła.

- Brawo! dzielnie się spisałeś z twoimi strzelcami dzisiaj, po raz drugi - wyrzekł zadowolony generał. W tej właśnie chwili dostrzegłem, wysuwającą się z niskich a długich kurzaw, wznoszących się po prawej stronie, na drodze z Nieznamierowic do Rusinowa, piechotę moskiewską. Droga ta była traktem zwyczajnym, nadzwyczaj piaszczystym, z Nowego miasta na Wysokin, Odrzywoł i Rusinów, z północnego zachodu idącym.

Zrobiłem uważnym generała, że piechota nieprzyjacielska po przekątnej może nam jeszcze dziś w wieczór, pod Goździkowem drogę przez Zychorzyn do gór zastąpić.

- Ocaliłeś nas od pewnej klęski dzisiaj - wyrzekł serdecznie do mnie Czachowski, i rozkazał przyspieszyć marszu.

Doszedłem wkrótce do Rusinowskich budynków, i ze strzelcami wybiegającymi z nich podzieliłem się zasłużoną pochwałą. W tem ujrzałem Moskali o 3000 kroków, na końcu alei ze wsi do Zychorzyna, na południe, ku górom wyżej wymienionym, od zachodu frontem rozwiniętych na wzgórzu, i oczekujących sposobności uderzenia z góry na dół, na czoło naszej kolumny, w przekonaniu, że musimy z trzech stron widocznie już być otoczeni, starać się więc będziemy przebić się ku górom i na nich wielkim lasom. Nie odnosząc się tą razą już do Czachowskiego, wszedłem z awangardą na drogę do Smogorzewa, na wschód od Rusinowa, a za mną poszła i reszta kolumny; Rudowski zaś, po przekątnej, nie dochodząc Rusinowa, połączył się z nami.

Zanim piechota nieprzyjacielska przebyła dość duży Rusinów, i wychyliła się po za ten na wschód, my już z zaszłem słońcem znikliśmy w nieszerokim pasku lasów, od Potworowa po naszym lewym boku, aż po za Goździków nieprzerwanie się ciągnącym, a od Rusinowa zaledwie półtory wiorsty odległym. Moskwa zaś jak się później o tem dowiedzieliśmy, zwiedziona powyższem wymknięciem się naszym i rozszoszczona forsownym marszem, -oraz stratą 7 zabitych i 24 rannych dragonów, - gdy mieliśmy wszystkiego 1 rannego, dziką żądzą zemsty, rabunku i niszczenia rozszalała - zatrzymała się w Rusinowie, i zrabowawszy, spaliła dwór oraz budynki folwarczne.

Dla tego przebyliśmy nie zaczepiani rzeczony wążki pasek leśny, a wyszedłszy z niego, zawróciliśmy znów na południe. Wkrótce przeszliśmy niedaleko od lasu leżąca wieś, Smogorzew.

Zaledwie jednak kilkadziesiąt kroków uszedłem za takową, padła wielka mgła i powiększyła szybko ciemność nocy; do tego droga do Goździkowa, już na górze, i w gruncie gliniastym poprzerynana rodzajem małych wąwozów, wodą z gór wyżłobionych, zmusiła kawalerję z awangardy odesłać w tył, i postawić na czele szpicę strzelecką. Na raz usłyszałem w tyle głos serdecznego mego przyjaciela, w tej wsi zamieszkałego, a dopytującego się o mnie; następnie, gdy mnie dopadł, chwycił mię w objęcia: czyniąc wyrzuty, za wyminięcie swego domu, i wszelkimi sposobami starał się też nakłonić do wstrzymania marszu, i odwiedzenia go. Oświadczył zarazem: że generał, sztab i prawie wszyscy oficerowie oddziału naszego, są obecnie u niego w gościnie; że od nich się o mnie dowiedział, i niepodobna, abym domem i prośbą jego wzgardził. Dla większego zaś zobowiązania, zaczął mi prawić grzeczności; że czuje się być dumnym z mej przyjaźni, w obec tego, co Czachowski o mnie w domu jego przed chwilą wypowiedział. Ale byłem głuchy na te serdeczne objawy niezrównanej gościnności polskiej, wobec płonącego obok dworu w Rusinowie. Pamiętałem bowiem dobrze, co to do dworów wizyty w dniu tym samym mogły nas kosztować. Obecna chwila była również groźną, bo jak to mówią, w tej chwili wszystko już wisiało na włosku. Powiedziałem przeto bez ogródek: że da mi najpyszny dowód swej życzliwości i przyjaźni, skoro skróci swą gościnność, ostrzeżeniem odemnie naczelnika - iż Moskwa idzie tuż za nami, a dragoni, których widzieliśmy pod Rusinowem stojących na końcu alei, pod Zychorzynem zachodzą nam front, aby przez las uprzedzić nas w Goździkowie; i dlatego maszeruję do tej wsi pospiesznie, aby nie dopuścić nieprzyjaciela do wykonania jego planów. W miejsce zaś ofiarowanej mi gościnności, prosiłem, aby nadesłał dla oddziału,

ile tylko może: wędlin, słoniny, sera i chleba.

Już większą połowę drogi do Goździkowa z oddziałem przeszedłem, gdy Czachowski, ze sztabem i zatrzymaną przy sobie kawalerją, połączył się z nami; jednocześnie otrzymałem i nadesłaną skrupulatnie przez przyjaciela dość znaczną ilość prowizji, którą natychmiast kolegom rozdałem.

Podstąpiwszy pod samą wieś, aby uniknąć możliwego starcia w ciemności zupełnej jaka nas otaczała, wystąpiliśmy z drogi w lewo; i maszerując na wschód polami, tuż po za płotami, od północy sadyby i dwór odgradzającymi, - obeszlśmy ją. Następnie przekroczywszy trakt z Przysuchy, polami poszliśmy na południe, dotknąwszy się drogi obok zakładu kąpielowego w ruinach.

Gdyśmy zresztą zaczęli się wspinać po stromej bardzo skalistej drożynie, a następnie dosięgli wierzchołka gór, ku Mechlinowi, tom odetchnął już pełną pierśią z bezpieczeństwa. Na noc dzisiejszą, oddział nasz, stanowczej katastrofy uniknął; znałem bowiem aż nadto Moskali, i wiedziałem, że w noc tak ciemną jak była ówczesna, na manowce w jakie się wydostaliśmy, za nic w świecie udać się nie odważą. Wiedząc jednak: ile posiadaliśmy już tylko przy sobie amunicji, i że oprócz niej mamy tylko jeszcze nieco prochu i ołowiu, lecz i te były aż w puszczy Iłżeckiej - czułem, że klęska naszego oddziału, z powodu braku głównie ładunków, lada dzień musi nastąpić. Tego przed kolegami nawet podkomendnymi, nie tałem wcale, wychodząc z doświadczenia: że wcześniej przewidziane nieszczęście każdy przyjmuje z większym spokojem, i łatwiej mu przeto przychodzi radzić o sobie w chwili katastrofy. Znałem przy tem dobrze swych towarzyszy, że wiadomość podobna nie tylko nie osłabi w nich hartu ducha, ale tylko do wszelkich możliwych wysiłków i oględnego użycia ognia nakłoni.

Od chwili bowiem reorganizowania oddziału, po bitwie Rzeczniewskiej, prócz odsyłaniem niezdolnych już do marszów, w skutek pokaleczonych nóg lub wyczerpania sił fizycznych u słabszych oraz rannych, pomiędzy włościan przeważnie, na kuracją potajemną, i poległych - żadnego ubytku innego nie mieliśmy, zbiega też z pod sztandaru nie znaleźliśmy u siebie. Jedno stanowcze zwycięstwo, któreby oddało w moc naszą znowu pewną ilość amunicji wroga, mogło by stanowczo jeszcze na jakiś czas zapewnić nam istnienie; lecz przy nieustannym sposobie szachowania nas przez Moskali, i ścigania zbyt przeważnymi siłami, ani można się było tego spodziewać.

Maszerowaliśmy tymczasem bez przerwy noc całą wierzchowinami gór, okrytych lasami: z początku na południe, następnie na wschód, a ku rankowi, na północny wschód.